



Mirosław Derecki

## DWA PUNKTY WIDZENIA

„Ja tu niby Jaskółka żyję, pod samym dachem, wysoko uczepiony, farby na płótno kładę, dawne czasy wspominam. Prawda, ktoś mógł by powiedzieć i tak: „Jakiż on Jaskółka, ów Iwan Demianowicz Rudczyk? Puchacz on stary, sześćdziesięcioletni. Na okrainie Brześcia, na piątym piętrze się zagnieździwszy - duchy zamierchłej przeszłości maluje, ludzi straszy”. Ot i już masz dwa różne punkty widzenia. A w każdym trochę racji. Moja zaś racja tego rodzaju, że historia to nic tylko przeszłość, ale przede wszystkim kawał minionego życia. Zaś o życiu nigdy dość mówienia. Jak dla mnie, życie to przede wszystkim honor, wytrwałość i poświęcenie. I przyjaźń. Trzeba ludziom ciągle o tym przypominać, szczególnie młodym. W jaki sposób - sprawa indywidualna. Jeden strzępi język, drugi piórem macha. Ja - przy pomocy pędzla i palety się wypowiadam.

Teraz za oknem ciemno, zmrok wcześniej zapada, zima przecież - światła nie dojrzysz. Za dnia także widok stąd nieszczególny. Pusto, szeroko, białym posypane. Ale jak przyjdzie wiosna-lato, wszystko się odmieni. Całymi godzinami siedzę wtedy przy oknie. A tam przede mną rozległa, zielona nadbużańska równina, rzeka się po niej kręci, za nią jeszcze kawałek zagranicy widać, znaczy Polski. Tam leży wieś Dobratycze - w niej się urodziłem. Tam, przez Bug się przeprawiwszy, razem z oddziałem kamandira Czepigi bić Niemca chodziłem, braciom Polakom pomagałem. Patrzą nieraz, patrzą i krajobrazu już nie widzę tylko mi różne sceny z własnego życia przed oczyma stają, a wówczas nagle wstaję, do sztalug podchodzę i zaczynam te sceny na płótnie zapisywać. I choć moja specjalność: chudożnik pejzażyst. najczęściej maluję partyzantów. Wśród nich pełnia mojej młodości minęła, a na starość, młodość człowiekowi najbliższa.

Do muzeum w Kobryniu obraz ofiarowałem. Tytuł - „Bitwa pod Rąbłowem”. Dla niejednego - cóż on znaczy? Płótna kawałek na blejtram naciągnięty, kilka figurek niewielkich z karabinami w dłoniach, drzewa jakieś, zarośla. Znaczy, kawałek polskiego wojennego pejzażu przedstawiony. Ale wierzę, że i tacy są, którzy jak ja, zgiełk bitewny z warstwy farby posłyszają. Przystaną chwilę dłużej, zastanowią się, o życiu, wytrwałości i poświęceniu pomyślą. Właśnie dla takich ludzi maluję.

Malowania zaś niewiele w moim życiu było, bo i kiedy, bo i jak? Tkwiło ono we mnie od dziecka, ale na rozwijanie tych umiejętności nie pozwalały tak zwane warunki. Na skrawku gruntu, w zapadłej polskiej wiosce z rodzicami siedziałem, trzeba było pole orać, a nie o zabawie myśleć. Dopiero jak do wojska w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym do Torunia poszedłem, dostrzeżono moje zdolności. Tylko, że co taki żołnierz - Rudczyk mógł innego robić, jak rysować gazetki ścienne, lub na państwowe święta dekoracje patriotyczne w wojskowej świetlicy malować? Ale tyle było dobrego, że już zacząłem wierzyć w siebie. Jak pod koniec służby jeden z krakowskich kolegów zaczął mnie namawiać: „Jedź, Rudczyk, do Krakowa, spróbuj sił w szkole malarskiej, talentu na roli nie marnuj - zdecydowałem się bez dłuższego wahania. Przyjechałem do Krakowa w trzydziestym pierwszym, bez grosza przy duszy, ale z nadzieją w sercu.

No cóż, była w Krakowie taka Szkoła Sztuk Pięknych, Rysunku i Malarstwa, prowadził ją profesor Alfred Terlecki. Płaciło się miesięcznie czterdzieści złotych za naukę, a skąd brać pieniądze - to już nikogo nie obchodziło. A jedzenie? A mieszkanie?

Dwa lata wytrwałem, a właściwie wytrwali finansowo moi rodzice. Potem przyszedł od nich list: „Kochany Synu, przyjedź pomagać przy zniwach nam i innym, co zarobisz, to dla Ciebie na dalszą naukę”. Przyjechałem, popatrzyłem, w domu bieda aż piszczy, ze wszystkiego się przez te dwa lata wysprzedali, żeby mnie pieniądze śłać. Żal serce ścisnął. Co zarobiłem - starym oddałem, a na jesieni sam za gospodarkę się wziąłem. Nu, stał w siele żyt, starikam pomagat. Tak się skończyły moje uniwersytety.

Wojna mnie w Brześciu ogarnęła, gdzie jako malarz pokojowy do gospodarstwa dorabiałem. Do domu wracać nie było po co. Już się tam Niemcy o Iwana Rudczyka przepytawali. Bardzo interesujący obiekt dla nich stanowiłem: komunista, członek KPP i KPZB, aktywny polityczny działacz białoruski. Wkrótce zaczęli i w samym Brześciu węszyć.

Cóż było robić? Brat, w takiej samej jak ja sytuacji się znajdujący, rzucił wszystko, w partizany paszoł. No brat chołostiak, a u mienia żona uże była i u mienia był uże rebionok. Znaczy i problem był. Wsio taki, swojego losu nie unikniesz. Było pisane Rudczykowi na polskiej ziemi krew w partyzanckich bojach przelewać i tak się też stać musiało.

Zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku musiałem uciekać z Brześcia, w ostatniej chwili ludzie ostrzegli, że mam być aresztowany. Dobrze powiedzieć: „uciekaj”, ale jak to zrobić? Dworce obstawione, na rogatkach żandarmeria sprawdza dokumenty. Pomyślałem chwilę - na długie myślenie czasu nie było - i powiadam do żony: „Broś ty czemodany bieri malczika w tielieźku, a przytul się do mnie mocno, patrz rozkochanym wzrokiem. I tak wolno, wolniutko, niby na spacer, przez Suworowski most z miasta się wymkniemy. A za miastem, szukaj wiatru w polu!”.

I co powiecie? Udało się! Niemiec na rogatce ani spojrział. Nu, poszli my na południe, za Kobryń, w kierunku Ukrainy, na Polesie. A tam - głusz. Wsie, pasiołki wśród bagien,

lasów zagubione, śniegiem na metr przykryte. Cisza, spokój, Fryca nie zobaczysz, a co który się pokaże, w rzekę, pod lód go wpuszczą. Partyzanckie to już państwo.

Szedł przez te tereny partyzancki oddział majora Władimira Pawłowicza Czepigi, ciągnął z Ukrainy w kierunku Polski. Wjechali żołnierze konno-zbrojno na środek naszej wsi, zawołali: „Nu, bratcy, kto s nami pajdiot”? Czterech się zgłosiło, w tej liczbie i ja.

Czepiga był komunistą, radzieckim oficerem i dobrym fachowcem. Było mu dopiero trzydzieści dwa lata, ale szła przed nim daleko sława partyzancka. Przed samą wojną skończył wydział budowy tuneli i mostów w Moskiewskim Instytucie Transportu Kolejowego. Po napaści hitlerowców na Związek Radziecki dowodził szwadronem, a następnie był adiutantem dowódcy 45 wydzielonej dywizji kawaleryjskiej. Potem mianowano go dowódcą operacyjnego oddziału Wyższej Szkoły Operacyjnej do Zadań Specjalnych, 23 czerwca 1943 r. został zrzucony na teren partyzanckiego zgrupowania Sałaja w osterskim rejonie obwodu czernihowskiego, wraz z dwunastoosobową grupą dywersyjną, mającą paraliżować ruch kolejowy na tyłach wroga. Wówczas, jeszcze w stopniu kapitana, stał na czele tej grupy. Na początku stycznia 1944 r. oddział Czepigi liczył już prawie czterystu ludzi, miał na swoim koncie 62 akcje dywersyjne na liniach kolejowych i 35 walk stoczonych z hitlerowcami. Zostało wówczas nadane mu imię N. Chruszczowa, sam zaś Czepiga awansował do stopnia majora. Prawie pół roku pozostawałem pod rozkazami Czepigi i chlubię się, że miałam takiego dowódcę.

Na początku przydzielili mnie do konnej rozwiędki. No, koniu ja ale był mnogij lubitiel. Popatrzeli przełożeni na moją jazdę, pokiwali głowami i przenieśli do oddziału sztabowego. Z wywiadowcy stałam się... dziennikarzem. Oddział wydawał gazetkę, nazywała się „Narodnyj Mstitiel”. Na wykopanej z ziemi w jednym z miasteczek niewielkiej maszynie drukarskiej, odbijaliśmy także ulotki, zwalczające ukraińskich nacjonalistów. Ulotki drukowałem w języku ukraińskim, białoruskim i polskim - wszystkimi trzema posługiwałem się wówczas jeszcze bez trudności. Tę maszynę woziliśmy ze sobą wszędzie. Dopiero po boju pod Rąbłowem musieliśmy ją porzucić.

Bug przekroczyliśmy nocą z 4 na 5, maja 1944 r. Była to ostatnia grupa oddziału im. N. Chruszczowa. Pierwsza część oddziału, pod dowództwem majora Czepigi, przeprawiła się już 16 kwietnia i obecnie znajdowała się w lasach lipskich na Lubelszczyźnie. My dołączyliśmy do drugiej wielkiej części, pozostającej pod dowództwem pomocnika szefa sztabu J. Wowka i rozlokowanej w lasach parczewskich. Zadaniem naszym było organizowanie dywersji na liniach kolejowych Łuków - Lubartów i Łuków - Brześć. Bug przechodziliśmy w rejonie Włodawy. Na przedpolach wsi Horostyty i Kriwowiechty zginął wtedy nasz komisarz, Wasyl Cymaniszyn. Był to mój pierwszy wojenny przyjaciel i często go wspominam.

Ledwie dołączyliśmy do oddziału, gdy Niemcy zorganizowali przeciw parczewskim ugrupowaniom partyzanckim wielką ekspedycję karną. Polskie oddziały AL pod

dowództwem ppłk. „Mietka” i nasz, Wowki, zdecydowały się na marsz w kierunku południowym. Wśród ciągłych walk ostrzeliwując się Niemcom, a często wyslizgując się niepostrzeżenie z zamykającego się wciąż wokół nas pierścienia wojsk nieprzyjacielskich, kompletnie wyczerpani, dotarliśmy w nocy z 13 na 14 maja do wsi Rąblów, niedaleko Kurowa.

14 maja było woskriesienie. Znaczy - niedziela. Stali my w Rąblowie i odpoczywali. Rano utrom kostry zażgli, gdzie to porosionok oże pod nożom piszczyt, niekatoryje prilegli spat. W budynkach folwarcznych rozlokował się cały partyzancki sztab, to znaczy dowództwo II Obwodu Lubelskiego AL z „Mietkiem” na czele, sztab Batalionu im. Hołoda ze Zgrupowania Północno-Lubelskiego AL no i nasi. Nagle warkot słyhać z powietrza, odwracam się, spoglądam w niebo, a nad folwarkiem trzy Stukasy nurkują. Po chwili ogień, wzyrw, huk, a gdy kurz opada, nie ma już folwarku, nie ma budynków. A tu już samoloty po siełu z puliemiotow bijut. My za broń, za bojepripasy i na skraj lasu pędzimy, tam - koncentracja, tam rozciąga się linia obrony. Dowództwo tamże. Okazuje się - wszyscy ocaleli. W ostatniej chwili, zauważywszy lecący przed Stukasami samolot zwiadowczy opuścili folwark. A tu już Niemcy się pokazują, już my po nich z maszynek bijemy...

I poszło dzieło, i poszło dzieło sławnawo rąblowskowo boja. No, slow polskich nie chwatajet. To było czto to w rodie piekła. Partyzantów było około ośmuset. Alowcy, czepigowcy, żołnierze Batalionów Chłopskich oraz mały oddział AK. Ogólną komendę objął podpułkownik „Mietek”. Przeciw nam - dwa tysiące Niemców, część - z dywizji pancerniej SS „Wiking”, dysponujących samolotami rozpoznawczymi i szturmowymi, bronią pancerną, artylerią.

W południe, po ataku z powietrza i przygotowaniu artyleryjskim, idzie pierwsze natarcie. Zostaje odparte na całej linii. Tylko część „Jagdgruppe Wiking” dociera do lasu i wdziera się do wąwozu bronionego przez partyzantów. Ech, poszli nasi chłopcy w bój na rukopasznuju, w walce wręcz starli się z faszystami! Ech, rąblowskie wąwozy, krzaki, zarośla! Echo po wąwozach kripit, trieszcit, Jezus Marija! Konie ranne na równinę jak spod ziemi wybiegały, dym stał nad całą okolicą, od nieba nas odgradzał, na ziemię martwe ptaki z ciemności spadały! Wyrzuciliśmy Niemców z wąwozu. Potem szedł drugi atak, popołudniowy i trzeci - wieczorny, a między tym dzień był długi, zdawało się jakby słońce wkopane w horyzont stało.

Ot i do nocy wytrwali, pozycji w bitwie nie oddali, nocą - nieprzyjacielowi umknęli.

Łącznie straciliśmy około 40 ludzi, drugie tyle było rannych. Czepigowców padło dwudziestu sześciu, w tym dwóch naszych „peczów”\*) A Niemców zginęło 300 i tyluż mieli rannych. Zaś drukarnię moją trzeba było zakopać. Była zbyt ciężka do szybkich pochodów jakie mieliśmy przed sobą. W ten sposób i z dziennikarstwem musiałem się rozstać. Środków produkcji, znaczy się zabrakło.

Ot i prawie koniec jednego z moich wojennych epizodów. Były później inne, może o wiele ciekawsze, w lasach janowskich, w bitwie na Porytowym Wzgórzu. Wtedy z wodą rzeki Tanwi kropla i mojej krwi popłynęła. Wtedy zginął Czepiga. Ale pod Rąbłowem pierwszy raz byłem w wielkim boju, pierwszy raz z bliska śmierć na mnie popatrzyła.

A koniec rąblowskich przeżyć był taki: dostałem zaproszenie od towarzyszy - zbowidowców z Lublina, na uroczystości związane z 25-leciem bitwy pod Rąbłowem. Zawieźli mnie maszyną do tej wsi, do tych pustych i cichych dzisiaj wąwozów. Chodziłem po polach, ziemię na dłoni kruszyłem, wspomnień szukałem. Ale chłodna mi była owa ziemia i ja jej daleki, serce wzruszenia nie czuło. Potem poprosili na trybunę, uroczystości się rozpoczynały. Postać znajomą przed sobą ujrzałem, to podpułkownik „Mietek”. Teraz - powiedzieli - generał dywizji, prezes Zarządu Głównego ZBoWip, zastępca członka Biura Politycznego KC... Przemawiał do młodzieży. A ja go nagle zobaczyłem w zniszczonym mundurze, z pękiem granatów u pasa, z pistoletem w dłoni... Wtem wystrzały z dział dały się słyszeć, ogień karabinów maszynowych, w niebo wleciały rakiety, nad ziemią popłynęły dymy - pozorowano tamtą bitwę sprzed dwudziestu pięciu lat. I mnie się wtedy ciepło w piersiach zaczęło robić i nagle łzy człowiekowi w oczach stanęły. Tak - my tu wmiestie s Poliakami borolis i za wolnost kriczali i w ataku szli!”

\*) Obsługujących PTR – „protiwtankoweje ruzio” – rusznica ppan.

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 3, s. 5,11.